



JOHN SMITH

# KATOWICE

Kwaśne krople deszczu wciąż jeszcze spływały po mojej twarzy, skapując na przemoczony płaszcz, którego włókna przybrały teraz nieco brunatnoszary odcień. Wiatr targał koronami miejskich drzew, podrywając z nich ostatnie krople deszczu. Bezgłośnie wpatrywałem się w ogromną postać ze stali. Nieco pociemniały i naznaczony turkusową zielenią czasu pomnik prezentował sylwetkę człowieka ustawionego na wielkim cokole, o rysach nieomylnie przypominających moje. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni prochowca, wyciągając plik przemoczonych kart. Gdzieś pomiędzy nimi znów natrafiłem na złożoną na pół starą wiodkówkę - raz jeszcze przyjrzałem się fotografii starego teatru. W dolnej części odbitki znajdował się niemalże niewidoczny już napis:

*Kattowitz O.- S. Stadt-Theater*

Na odwrocie zaś odnalazłem sumiennie wykaligrafowane zdanie:

*Stadttheater, Teatr Miejski, Wielkie otwarcie, 1907*

Złożyłem na powrót pocztówkę, która zaczęła już przyj-

mować wilgoć otoczenia. Spojrzałem na pozostałe papiery. Pożółkłe dokumenty ociekały wodą, a rozmożony materiał wchłonął już atrament, pozostawiając jedynie czarne ślady swojej obecności. Mogłem rozszyfrować jedynie datę wydania dokumentu - papier odkształcony w miejscu wybicia pieczętki mówił, że dokument ten wyszedł z rąk urzędników państwowych w roku 1920. Fotografia z niewątpliwą pewnością przedstawiała człowieka, w którego stalową rzeźbę wpatrywałem się już od dłuższego momentu.

- Kim jesteś? - pomyślałem, odwracając się i odchodząc.

Nocne niebo znów przeszła błyskawica, a grzmot rozbił się echem pomiędzy rzędami starych kamienic, które na powrót zanurzyły się w ciemności.

Pamiętam jak wcześniej, jeszcze tego samego wieczoru, znajdowałem się przed budynkiem udokumentowanym na fotografii. Stałem tak, próbując dopasować stare zdjęcie do aktualnego stanu, w którym znajdował się teatr. Mimo iż był to niezmiennie ten sam budynek, może prócz napisu u zwieńczenia budowli, który dziś prezentuje treść: Teatr im. St. Wyspiańskiego - miejsce, na które spoglądałem w tamtej chwili, wydawało się całkiem odmienne. Dziś wszystko było tu żywe. Miejskie klomby zarastała soczysta zieleń, trakcje kolejowe przecinały ulice wzdłuż i wszerz, a podłużne światła uśmie-

chały się spomiędzy torowisk, połyskując szmaragdową barwą.

Ludzie wybiegali z teatru, kryjąc się pod płaszczami i parasolkami, pary obejmowały się, ktoś śmiał się i komentował „Piątą stronę świata” Kutza. Spojrzałem na rozmakającą broszurę pod moimi nogami. Delikatnie odkleiłem ją od ziemi, dźwignąłem i zacząłem czytać:

*„Śląsk, piąta strona świata, to miejsce, gdzie zacierają się granice, a historia bawi się ludźmi i narodami. Nie sposób zamknąć go w sztywne ramy ani opowiedzieć od początku do końca. Można tylko próbować odsłaniać po kawalku, zestawić z tysiącami zabawnych, tajemniczych i fascynujących ludzkich historii.”\**

Przejechałem wzrokiem trochę niżej, zatrzymując się w dolnej części karty. Widniała tam data:

[ND]20.09.2015, 19:00

Rozmasowałem twarz, by pobudzić krążenie i bez zrozumienia spojrzałem raz jeszcze na uśmiechniętych przechodniów, czując, że bardzo chciałbym zobaczyć tę sztukę. **Na to jednak było już dziś za późno.** Otaczająca mnie sielanka nie odciągnęła mnie jednak od moich pytań.

W swoim życiu miałem możliwość zetknąć się z kilkoma przypadkami amnezji, lecz do samego zagadnienia od strony medycznej podchodziłem z pewną dozą ignorancji, właściwą nam wszystkim – nie liczyłem, że i mnie może to spotkać. Jakiś człowiek ukryty pod parasolem, osłaniając się przed ostrym wiatrem postawionym na sztorc kołnierzem, przemknął po drugiej stronie ulicy, nie spoglądając nawet w moim kierunku. Otuiliłem się mocniej płaszczem i ruszyłem przed siebie, wspinając się ulicą Francuską przecinającą stare śródmieście. Z niewiadomych powodów czułem jak gdyby to miasto było moim domem. Są takie miejsca, w których niezależnie od naszego wieku, wiedzy czy czasów, w których przyszło nam żyć, mamy tę niepodważalną pewność, że jesteśmy właśnie tam, gdzie powinniśmy być. Że jesteśmy w domu.



Ostatnie światła gasły już w oknach kamienic, witryny oszklonych sklepów świeciły się różnokolorowo. Czułem, że miasto żyje, oddycha. W mojej pamięci rysowała się mapa alejek i ulic, nazwy niektórych miejsc, imiona osób kompletnie ze sobą niepowiązanych, bez kontekstu i ładu przeplatały się i znikały. Coś jednak sprawiało, że mimo tej niepodważalnej bliskości wszystko to było dla mnie nowe. Jakże ciężko ubrać uczucia w słowa, kiedy nie pamięta się nawet własnego imienia. Wszystko jednak wydawało się inne, nieco odmienne niż w mojej wyobraźni. Wszystko utrzymywało się w stanie ładu i niezrozumiałego dla mnie spokoju, mimo szalejącej wichury

i ciemności sklepienia rozświetlanego raz za razem jasnymi błyskawicami. Świat wokół mnie wydawał mi się nieco zbyt idylliczny.

Zatrzymałem się, by ze zdezorientowaniem godnym starszka przyjrzeć się olbrzymiemu gmachowi Urzędu Wojewódzkiego. Monstrualna budowla dumnie spoglądała na mnie rzędami okien, które odbijały teraz złowieszcze obrazy aktów odgrywanych na niebie. Flagi trzepotały u szczytu białych masztów, zagłuszając swoim koncertem wszelkie odgłosy miasta.

Rozgniewany zagubieniem rozglądałem się, starając odnaleźć cel swojej podróży. Drobną sylwetka czarnego kocura spoglądała na mnie z zainteresowaniem z popękanego murku ogrodzenia znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy. Jego zielone ślepie przenikały mnie na wskroś jak gdybym był właśnie tym, na kogo czekał. Przebiegłem przez ulicę Ligonia i zbliżyłem się powolnie do tajemniczego stworzenia, które nie spuszczało ze mnie wzroku. Sięgnąłem ręką i zacząłem subtelnie głaskać delikatne futerko jego grzbietu. Dobiegło mnie ciche mruczenie, uśmiechnąłem się i spojrzałem na mroczny ogród znajdujący się za plecami mojego małego przyjaciela. Mój wzrok spoczął na postaci, odcinającej się od otaczającego mnie obrazu, która stała gdzieś w głębi sadu, oparta o gruby pień starego kasztanowca. Nieznajomy taksował każdy mój ruch z zaciekawieniem. Ta nieodgadniona iskra zagrzebana gdzieś głęboko w nas, pozwala nam czasem ocenić dobrze sytuację, by instynktownie zareagować. I tak było tym razem. Zerwałem się nagle w kierunku nieznanego, myśląc jedynie o tym, że skoro ten podjął się trudu śledzenia mnie, musiał posiadać informacje na mój temat, a z pewnością jednak wiedział o mnie więcej niż ja sam. Nie spuszczać wzroku, minąłem metalowe ogrodzenie i pchając rachityczną furtkę, której zgrzyt przebił powietrze, wpadłem do ciemnego

ogrodu. Chlust wody przelewającej się pomiędzy kałużami niskiej trawy był akompaniamentem tego tajemniczego pościgu. Piorun rozbił się o dachy pobliskich budynków, blask błyskawicy oświetlił twarz nieznanego, grzmot przebił powietrze z głośnością artyleryjskiego wystrzału, a gdy dźwięk ucichł dostrzegłem, że ten zniknął. Oniemiały spoglądałem

w miejsce, gdzie jeszcze przed sekundą znajdował się człowiek. Miejsce to nie nosiło żadnych śladów obecności obcego. Przełknąłem ślinę. Jakiś tajemniczy głos wykrzykiwał w moim umyśle jedno nazwisko.

- von Winckler.

Dzwony Archikatedry Chrystusa Króla wybiły trzykrotnie, a po moich plecach przebiegł niepohamowany dreszcz przerażenia. Nie wiedząc czemu, byłem pewny, że mój czas dobiegł końca.

\* <http://www.teatrslaski.art.pl/strefawidza/spektakl/11>